

ARTUR Hr. POTOCKI.



ARTUR Hr. POTOCKI

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

napisał

St. Tarnowski.



301 753

85444



ARTUR H. POTOCKI

180192



W KRAKOWIE,

NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1890.

I o tym jeszcze pisać *wspomnienie pośmiertne*? Kiedy się ich już tyle w życiu pisało o starszych i o rówiennikach, jeszcze o tym, którego się małym dzieckiem pamięta, a na którego się liczyło że pożyje długo, i kiedy starszych nie stanie, będzie wyobrażał, popierał, dźwigał to wszystko dobre, które się kochało, któremu się służyło! Ten, którego było się pewnym, że zawsze tylko dobrego będzie chciał, a złemu wszelkiemu będzie się z całej siły opierał, ten zeszedł ze świata, kiedy jeszcze czterdziestu lat nie skończył! Przy każdym ze starszych, kiedy umierali, miało się bolesne uczucie szkody a niemal krzywdy publicznej: ale przy śmierci tego młodego, odzywa się w duszy coś jak skarga, przypominają się Kochanowskiego słowa: „opakeś to niebaczna śmierci udziałą.“ Narzekać i szemrać się nie godzi, a wstydby był, kiedy ci, co stracili najwięcej a boleść mają najcięższą, przykładem swoim uczą dalszych, jak się mówi, nie słowem tylko, ale uczynkiem *fiat voluntas Tua*. Jednak, wierząc że ta śmierć była na coś potrzebna, a tylko my nie wiemy i nie rozumiemy na co, — wierząc katechizmowi, który każe poddać się a nie pytać i spierać, w tym razie trudniej jeszcze niż zwykle odpchnąć od siebie tę myśl starą jak świat a nigdy nie wytłómaczoną, dlaczego Bóg zabiera dobrych i potrzebnych, a zostawia nieużytecznych i złych? Zjawisko to powsze-

dnie naszego życia, a jego chlebem powszednim jest ta niemożność zrozumienia co się dzieje i dlaczego. Ona to w wielkiej mierze sprawia tę gorycz, którą zaprawny jest nasz chleb powszedni; a choć się wie, że wszystko będzie wytłómaczone i pogodzone kiedyś na tamtym świecie, to nie sposób jest nie dręczyć się temi pytaniami i sprzecznościami, jak długo się jest na tym świecie. W kraju, który ludzi dobrych i tęgich potrzebuje więcej, a ma mniej niż inny, śmierć ścina głowy sterczące nad średni poziom, jak starożytny tyran wyższe makówki. Trudno, na to jej srogie gospodarstwo patrząc, nie fraszować się o przyszłość. Ale dopóki zabiera starych, spracowanych, kłosy dojrzałe jak Grocholski lub Alfred Potocki, łatwiej to znieść; plon oczekiwany dopiero, jeszcze niegotowy, nadzieja przyszłego żniwa i pożytku, wyrwany z ziemi w chwili kiedy dojrzewał, to widok boleśniejszy i smutek gorszy. Żałuje się nietylko tego dobrego, które się przez człowieka stać mogło a nie stanie, ale żałuje się także i człowieka samego, że nie mógł zrobić więcej, on, który tak gorąco pragnął i tak sprawnie umiał dobrze robić. Zrozumieć nie można nic, prócz tego, że ta ofiara z własnego dalszego życia, to wyrzeczenie się prac, zasług, pożytków, jakie z niego przyjść mogły, przed Bogiem z pewnością musi znaczyć wiele, i może — sposobem dla nas niewidzialnym ale skutecznym — obróci się na korzyść tej sprawy, której człowiek widzialnie służyć już nie będzie.

W tem też jest jedyna pociecha i osłodzenie, bo zresztą życie to zostawia wrażenie żalu i goryczy, że się skończyło tak prędko, że jemu samemu po szczęśliwej młodości przynosiło same gorycze i smutki.

Przyszedł na świat w domu jednym z najznakomitszych w kraju, i w domu wyjątkowo u nas bogatym. Młody ojciec nie miał jeszcze czasu ni sposobności do

okazania całej wartości, jaką miał, ale już nieraz (w roku 1846 na przykład i w 1848) dał był poznać tę śmiałość, dzielność, szlachetność, tęgość głowy a wysokość serca, które sprawiały, że ze wszystkich znakomitych ludzi swego pokolenia, on najwięcej miał w naturze swojej pierwiastków prawdziwie bohaterskich. W owym czasie zaś, w samej połowie naszego wieku, mogło się jeszcze zdawać, że dusza na wielkie rozmiary znajdzie jeszcze kiedyś i pole przestronne, na którym będzie mogła rozwinąć swoje skrzydła i siły. Rok 1848 ze swojemi następstwami był wprawdzie bardzo smutny, bo wydobył na wierzch wszystko złe, jakie kryje w sobie rewolucya, i przekonał wszystkich rozumnych i uczciwych, że ona nic dobrego zrobić nie jest zdolna, — a skończył się zwycięstwem innego złego, despotyzmu policyjnych rządów. Ale wtedy wierzono jeszcze, że z tej walki dwóch sił i zasad złych wyjdzie zwycięzko trzecia, prawdziwa, sprawiedliwość i wolność, że z „chaosu dobędzie się, z myśli Bożej rozwinie się“ nowy i lepszy okres dziejów ludzkości. Ludzie wtedy myśleli i wierzyli, że zadaniem i powołaniem naszego wieku, jego w historii rolę i obowiązkiem, jest wytworzyć i urzeczywistnić prawo publiczne z prawem Bożem zgodne, wprowadzić chrześcijaństwo w stosunki między narodami i państwami: Była wiara, że jedno złe nie będzie zniesionem przez drugie, tylko, że złe będzie zwalczone, zwyciężone przez dobre. A kiedy w domu jakim rodził się chłopiec, wróżono mu z otuchą, że będzie nie smutnym, ale świetnym i szczęśliwym dobrych spraw rycerzem i obrońcą.

Kiedy generał Chłopicki trzymał do chrztu nowonarodzonego synka swego przyjaciela Adama Potockiego, życzliwi uśmiechali się na myśl, że może duch żołnierski z ojca chrzestnego przejdzie na chrzestnika — kto wie, może mu się przyda jak dorośnie!

Kiedy ojciec po swoim więzieniu, po powrocie z podróży wschodniej, osiadł nanowo spokojnie w domu, mógł się cieszyć swoim synkiem. Dziecko w krakowskiej sukmance było ładne, zgrabne, żywe i dobre. Kiedy potem kilkoletni chłopczyk jeździł przy ojcu na kucu i skakał przez przeszkody umyślnie dla niego zrobione, do miary jeźdźca i konia, mówiło się: on będzie tęgi i śmiały. Później tasama o nim nadzieja. W szkole uczył się doskonale, a był w tym zwłaszcza czasie pełen wdzięku. Młodzieniaszek jak być powinien, jakimby każdy chciał widzieć syna albo wychowanka, do wszystkiego skory, pochopny, ciekawy, do ćwiczeń wszelkiego rodzaju wprawny, myśliwy już zapalony i strzelec dobry, w straży ogniowej ochotnik zręczny i śmiały, tak że się w niej jakiegoś stopnia dosłużył, w chodzie szczególnie wytrwały i szybki, a w skoku istotnie nie do uwierzenia śmigły; z tem bujnym życiem fizycznym łączył najpiękniejsze, najmilsze przymioty młodości „duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne.“ Lepiej niż niewinne tylko, bo bardzo szlachetne, rwące się do wszystkiego co dobre, rosnące już wtedy ku tej wysokości, której wzór dawał ojciec, a która była samą treścią i pięknnością natury syna.

Wtedy wróżyło się mu już nietylko, że będzie tęgi, ale, że będzie bardzo dobry.

Po egzaminie dojrzałości, ojciec bał się dla niego częstego rozpróżniaczenia na krakowskim bruku i krakowskich wieczorach, i dał mu do wyboru kilka zakładów zagranicznych. Odgadując tajne życzenia ojca, wybrał zakład Jezuitów w Paryżu (rue des Postes), sławny podobno zwłaszcza z nauk matematycznych, i w nim się zamknął. Ale rozchorował się tam ciężko; dla lepszego starania przeniesiono go do domu krewnych, po długiej stracie czasu już kolegów dopędzić nie mógł, przerwał więc nauki i udał się na uniwersytet do Wrocławia. Tutaj,

z tem szczęściem do ludzi jakie miał, stał się łatwo środkowym punktem życia polskiej młodzieży, prezesem jej stowarzyszeń, i bardzo się do tych swoich obowiązków przywiązał. Przypominamy sobie rozprawy i wykłady naukowe, które z wielką powagą przygotowywał na jakieś posiedzenie swojego towarzystwa.

W tym czasie przysłała choroba i śmierć ojca.

Młodziutki musiał wszystko porzucić, nauki przerwać, a zostać głową domu, opiekunem młodszego rodu, zarządcą ogromnego majątku. Brał się do tego z pewną obawą i pewną goryczą; życie pokazało mu się wcześniej z różnych swoich stron, a są między nimi i brzydkie. „Czybyś wierzył? już mi podchlebiają!“ — mówił z cichem obrzydzeniem w kilka dni po pogrzebie ojca. W pierwszym roku obowiązków tych pełnić nie mógł; odbywał ochotniczą służbę wojskową, właśnie dlatego odrazu, żeby się nią później od ciągu zajęć nie odrywał. Ale odkąd powrócił i objął zarząd swoich spraw, okazał się zaraz zupełnie do nich dojrzałym i zdatnym, z głową jasną, trzeźwą i zaradną, z ręką pewną i silną, i z sercem prawdziwie wspaniałem, które się czuło pierwsze obowiązaniem, gdzie był jaki obowiązek, pierwsze gotowem, gdzie była jaka ofiara do spełnienia. Dobrodziejstw tego młodego chłopca, hojnych a świadczonych z tą szlachetnością uczucia, która wspieranemu oszczędza najłżejszego upokorzenia, dobrodziejstw może piękniejszych jeszcze, w których on swoją pomocą ratował byt i stanowisko, a swoim milczeniem ratował dobrą sławę ludzi, wiele zostało nam w pamięci; więcej może było takich, o których nie wiemy. Sam raz mówiąc o miłosierdziu swojej babki i o sposobie miękkim a nieznanym, w jaki je wykonywała, wyraził się ładnie, że „delikatność, to jest sam kwiat dobrego serca.“ Na gruncie jego serca, ten kwiat, pielęgnowany może tą

ręką dla wszystkich dobrą i miękką, ale dla niego szczególnie pieszczącą, przyjął się bujnie i przez całe życie kwitnął.

Mało światowy (raczej za mało), zwykle rozrywki sprzykrzył sobie prędko; jedno tylko lubił zawsze i namiętnie, myśliwstwo. Była w tem passya, a nawet miłość własna łowiecka; chory na ospę (którą dostał pielęgnując swego stryja Alfreda), nieprzytomny, powtarzał czasem pytanie: „ciekawym, kto po mnie będzie najlepszym myśliwym w Polsce?“ Ale było w tej passyi i zamiłowanie natury (zwłaszcza górskiej) i życia niezwykłego, przygodnego, samotnych nocy i wspaniałych wschodów słońca na szczytach gór, długich rozmów z huculami, niebezpieczeństwa czasem. W ciasnych szrankach naszego zwykłego życia zamknięta natura, potrzebowała więcej przestrzeni, więcej swobody, więcej nieprzewidzianego przypadku może. Te polowania w górach, to była poezya jego życia, tej potrzebie odpowiadały jakotako skały, jelenie i noclegi w szalaszach, złudzenie (kiedy rzeczywistości być nie mogło) innych trudów i niebezpieczeństw, innych strzałów i noclegów pod namiotem. Własna przyjemność zaś łączyła się z dobroczynnością i z pożytkiem dla okolic, w których polował. Ksiądz Metropolita Sembratowicz, który zjechał na jego pogrzeb, a w którego dobrach właśnie odbywały się coroczne polowania, opowiada, że ludność tych gór przywiązała się do Artura z rodzajem fanatyzmu, nazywała go swoim panem, i że nie zechce uwierzyć w jego śmierć, którą będzie miała za swoje nieszczęście.

Za młody jeszcze do publicznego życia, ściągał przecie oczy i nadzieje wszystkich. Jak na niego przyjdzie czas, to z niego będzie pociecha! A tymczasem na zakończenie pierwszej i szczęśliwej młodości, miało mu życie dać jeszcze co ma najlepszego... żeby to zaraz odebrać.

Miał lat dwadzieścia siedm, kiedy się ożenił.

Jak często w naszym wieku, w jego sferze zwłaszcza, kójarzą się małżeństwa z namowy, albo z przekonania, że się ożenić trzeba, przy jakim-takim średnim stopniu upodobania w osobie, którą się bierze za żonę! Nie mówiąc o takich, którzy się żenią z wyrachowania, dla posagu, w małżeństwach zupełnie uczciwie a nawet szlachetnie zawieranych, miłość prawdziwa i wielka częściej jeszcze przyjdzie po ślubie, niż do ślubu prowadzi. U niego stało się inaczej. Zobaczył dziewczynkę zaledwo wychodzącą z lat dziecinnych, krewną, ale od wielu lat nie widzianą, tak, że zobaczył ją prawie po raz pierwszy, i odrazu uczuł, że nic co dotąd znał w życiu, nie robiło mu takiego wrażenia, nie dostawało się tak do serca, nie budziło w nim jak za dotknięciem czarodziejskiej różeczki, takiego wiosennego rozkwitu uczuć, nadziei, marzeń, powabów, słodczy, jakich przedtem nie znał, nie domyślał się w sobie. Ona także na pierwsze spojrzenie doznała jakiegoś przeczucia dziwnego: ledwo go ujrzała, nie wiedząc jeszcze kto on jest, pokazała go matce, mówiąc, że to ktoś, co wywrze jakiś wpływ na jej los i życie.

Była pełna wdzięku, tak, że aż prawie nie rzeczywista, nie dla tego świata. Oczy prześliczne, ogromne, głębokie i rzewne, tylko takie tęskne i smutne, że wyraz ich nie dawał się pogodzić z jej młodością i szczęściem; później tłómaczono go sobie przeczuciem rychłej śmierci. Przesunęła się też przez ten świat, jak dźwięk, jak blask tęczy, jak „cień przelatującego anioła.“ Ale w tej idealnej, prawie nie rzeczywistej postaci, była rzeczywistość piękniejsza duszy nietylko szlachetnej, ale silnej, najdoskonalszej prostoty serca, wychowania, pojęć, pragnień i rzeczywistość bardzo obiecującego umysłu. Ta młodziutka kobieta, która umierając miała zaledwo lat dwadzieścia

jeden, była mądra i nie na swoje młode lata tylko. Nieśmiała i cicha, względem starszych niezmiernie uległa, bardzo rzadko odkryła się ze swemi myślami, ale wtedy zadziwiała swoją dojrzałością i trafnością swego zdania, rzadką pewnością swego taktu. Kochająca męża i zakochana w nim całą duszą, widziała przecież doskonale to, co w jego usposobieniu mogło się nie podobać ludziom, a przeto jemu w życiu przeszkadzać, — i pomału, nieznanie, niewidzialnie, umiała przeciw temu działać i to usuwać. Gdyby była pożyła, gdyby była doszła do tej powagi, jaką żonom dają lata, mąż byłby nietylko został szczęśliwym, ale byłby z pewnością wyrobił się jeszcze piękniej, w doskonalszej harmonii i równowadze.

Szczęście swoje oboje chowali przed ludźmi prawie zazdrośnie, jak żeby przeczuwali, że niedługo cieszyć się niem mieli, i jak żeby żałowali każdego dnia i godziny. Dobrze było im, kiedy byli sami, a najlepiej, kiedy mogli na parę tygodni zamknąć się w Staszowie, w małym domu, do którego zaglądało tylko paru blizkich przyjaciół. Ztąd wynikło, że młoda pani Arturowa była ludziom mało znana; jedyny właściwie raz co pokazała się na szerszym świecie, to kiedy podczas podróży Cesarza w roku 1880 przyjmowała go u drzwi swego domu w Krakowie, a potem mężowi towarzyszyła do Lwowa. Byłato ładna i obiecująca chwila, kiedy młody obywatel zaczął być na widoku i znanym nie swojemu tylko krajowi; ostatnia niestety chwila jego szczęścia. Zaraz potem stan żony się zmienił, a w maju roku następnego zaszła jej śmierć i nowonarodzonej trzeciej córeczki.

Potem żal ponury, głuchy, bez skarg i narzekań. Z wyjątkiem najbliższych chyba, nigdy on o swoim nieszczęściu nie wspominał, nigdy przez te wszystkie lata imienia żony nie wymówił; co najwięcej, wtrącił czasem nawiasowo jakie ciche słowo o życiu złamanem,

w którym dla siebie niczego już nie żądał i spodziewać nie mógł. Nie byłato rozpacz namiętna, wulkaniczna, a przez to samo zdolna jakiegoś przesilenia; była męczarnia człowieka bardzo uczuciowego a głębokiego i zamkniętego w sobie, tem trudniejsza do ukojenia, że on u nikogo ulgi nie szukał; tembardziej niepokojąca ze względu na jego zdrowie, że od dzieciństwa nerwowo bardzo, po swoim nieszczęściu stracił zupełnie sen, i na długo. Siłą woli panował nad sobą i udawał spokojność przed ludźmi, ale znać było, że wewnątrz szarpie się i pasuje ze sobą, że postępuje w nim taka stopniowa skamieniałość duszy, jak w tym strasznym wierszu Krasieńskiego, gdzie po każdej nowej myśli powtarza się złowroga zwrotka „nic mi jest wszystkim i wszystko mi niczem.“

Dla siebie samego z pewnością tak on na życie patrzył. Byli tacy, co kochając go a widząc niepokieszonym, litując się jego młodości i przyszłości, prawie mieli do niego żal za ten żal tak ciężki, prawie oskarżali, że się zbyt w swoim smutku rozmiłował. Zapewne, może byłoby szczęśliwiej dla niego, gdyby był innym; tylko nie zależało od niego być innym. Nie sama tylko rodzicielska boleść może mówić „mam powód się kochać w mym smutku — bo smutek zajął miejsce mej dziecińcy.“ Prawda, on po tem nieszczęściu nie był już nigdy taki jak dawniej; prawda, w kwitnącej młodości, w trzydziestu latach, ten zgon, „owiał pęk młodych uczuć i zwarzył jak jesień;“ prawda, nie mógł znieść ani cienia tej myśli, żeby jakaś inna zajęła w jego sercu i domu miejsce tej, którą stracił. Ale w tym żalu nie było ani pogańskiej rozpacz, ani romantycznego rozkochania we własnym cierpieniu. To nie był bohater Malczewskiego, który ze swoją miłością i swoim szczęściem „odrazu wszystko w świecie traci“. On całym

swojem późniejszym życiem pokazywał wprawdzie wyraźnie, że „życie tylko boli, gdy kwiat jego zginie;“ ale pokazywał również, że jak chrześcianin dobry i jak człowiek wielkiego serca, nie sam tylko kwiat w życiu miał i widział. Kwiat zginął, ale cel został, i obowiązek został, i owoc z tego życia przecież zostać powinien. „Życie tylko boli“ — ale jest; i dopóki jest, powinno być uległem względem Boga, a przydatnem dla ludzi. A więc nie *„nic mi jest wszystkim, a wszystko mi niczem“*: tak jest tylko istotnie dla mego osobistego szczęścia. Ale dla Boga w niebie, dla ludzi i spraw dobrych na ziemi, nie obojętność i skamieniałość, ale *„rozdawaj siebie samego swej braci.“*

To jest historia Artura od śmierci żony. W tej zmartwiałości, w której był pogrążony z początku, byłby zapewne pozostał dłużej, gdyby potrzeba drugich nie była go z niej wyrwała. Łatwość poświęcenia się, i to uczucie obowiązku wysokie, które widzi obowiązek w tem co już jego miarę przechodzi, to były najwyraźniejsze cechy i przymioty jego duszy, które po ojcu odziedziczył, a miał w mierze nie mniejszej jak ojciec. I przez nie dał się wciągnąć w życie nanowo. Od początku wprawdzie miał dość mocy nad sobą i odwagi, żeby załatwiać wszystkie sprawy, które do niego należały, ale załatwiał je mechanicznie; kładł w nie uwagę i pilność, nie kładł duszy, nie kładł tej zaciętej woli, żeby koniecznie coś nowego i lepszego utworzyć. Szczerze, naprawdę, już z popędem oddanym jakiejś czynności, pamiętamy go po raz pierwszy od owej straty przy obchodzie dwóchsetnej rocznicy Bitwy wiedeńskiej, kiedy chodziło o nabycie *Sobieskiego* Matejki, kiedy się okazało, że Matejko przeznaczył swój obraz na dar od narodu dla Głowy Kościoła. Przypominamy jego bardzo piękną mowę na zamkowym dziedzińcu, 13-go września

1883 roku. To był pierwszy akt budzącej się na nowo ochoty do życia. To było też umocnieniem tego serdecznego związku, który go łączył z Matejką: jak następna wspólna podróż do Rzymu z obrazem, i dwie wówczas audyencye u Leona XIII, były może pierwszym jego od śmierci żony przyjemnem wrażeniem i wspomnieniem.

Niebawem sprawy publiczne wielkiej wagi zapotrzebowały jego rady i poświęcenia. Dawniej już dał był świetny dowód silnej woli i umiejętności w rzeczach finansowych, kiedy się podjął uporządkowania interesów swego stryja Alfreda. Stary ksiązę Roman Sanguszko miał na wspólnkę z zięciem fabryki cukru; rozwijał je na wielką, aż niebezpieczną skalę; pan Alfred Potocki, z tą dobrocią serca, która mu była właściwa, nie chciał się sprzeciwiać teściowi, starcowi, nieszczęśliwemu i kalece, więc choć nie bez obawy, zezwalał na zmiany i śmiałe przedsięwzięcia. Przyszedł nagły i wielki a długotrwały spadek cen cukru, a wskutku tego znaczne i trudne zawiłłania w sprawach majątkowych pana Alfreda. Do rady wezwano Artura; ten podjął się rozwikłania sprawy, pod warunkiem, że sam będzie ją prowadził, aż do zupełnego uporządkowania. Wziął więc wszystko na swoją odpowiedzialność, użył własnego kredytu, i w czasie daleko krótszym niż był oznaczył, pospłacał należytości, podniósł dochody, przywrócił równowagę, i wtedy dopiero złożył z siebie ciężar tych spraw, kiedy je z labiryntu na prostą równą drogę wyprowadził. Wspominamy o tem przejściu jako o najznaczniejszym z tych ratunków, jakie on dawał prywatnym majątkom polskim; ale fakt ten nie był wcale jedynym. Niejednej rodziny byt, nie jeden wielki obszar polskiej ziemi, podobnie był uratowany jego głową i ręką.

Teraz przysła potrzeba ratowania nie już ludzi i majątków prywatnych, ale samej niemal podstawy bytu

społeczeństwa. Był we Lwowie *Bank Włościański* osławionej i brudnej pamięci, założony niby dlatego, by łatwym kredytem wspomagać lud wiejski w spłacaniu lichwiarskich długów i w posiadaniu ziemi go utrzymać. Naprawdę lichwiarski sam, oszukańczy i zdzierczy, z łatwowierności i niewiedomości ludu korzystający podstępnie. Nieuczciwy zarówno względem wierzycieli swoich, jak względem dłużników, Bank ten runął; a wtedy wierzyciele mieli należności swoich poszukiwać na jego dłużnikach. Dwadzieścia kilka tysięcy rodzin włościańskich miało w nim pożyczki, dwadzieścia kilka tysięcy gruntów było obciążonych i przy likwidacyi musiało uleść sprzedaży przez licytację; czyli, te wszystkie tyśiące rodzin miały pójść z torbami na żebrzy, te tyśiące gruntów w wartości około pięciu milionów reńskich, miały przejść na własność nowych nabywców, żydów albo przybyszów. Nie przez ucisk obcy, nie przez komisye kolonizacyjne wymyślane na eksterminację polskiego żywiołu, ale przez prostą chciwość i nikczemność, przez proste szalbierstwo i zdzierstwo, w którem niestety umoczyło palce i paru Polaków — miały się zachwiać przez wywłaszczenie włościanina-Polaka same podstawy naszego społecznego składu, same warunki narodowego bytu. Ratunek doraźny i na wielką skalę był koniecznością i obowiązkiem. Jeden człowiek oczywiście dać go nie mógł, przedsięwzięcie było na jednego za wielkie. Ratawał się kraj sam przez ludzi z głową, z poświęceniem, ze znacznymi środkami. Ale między tymi, jednym z pierwszych i pracą i pomysłowością i poświęceniem, był Artur Potocki; i między widocznymi najłatwiejszemi do zapamiętania jego pięknemi czynami, ten powinien być zapisanym nazawsze. A jeżeli nie wszystko on zrobił, jeżeli nie wszystkich zagrożonych włościan i nie całą zagrożoną ziemię sam ocalił, to przecież ocalił niemało sam jeden.

W dwóch powiatach (swoich najbliższych), zapłacił ze swojej kieszeni wszystkie należności Banku włościańskiego za włościan dłużników. Gdyby w obronie tej ziemi był przelał część swojej własnej krwi, nie byłby bronił jej lepiej, aniby większą był miał zasługę.

Ta cała czynność ratunkowa, dodana do wszystkiego co o nim dawniej wiedziano, wyniosła go na jednego z bardzo znaczących ludzi w kraju, nie stanowiskiem tylko, ale własną wartością. W życiu politycznym musiał zająć miejsce wysokie, skoroby tylko do niego przystąpił. Z wielką do niego chęcią i rzetelnym powołaniem, w pierwszych czasach po śmierci żony nie czuł się na siłach, i kiedy go namawiano, żeby wszedł do Rady Państwa, odmawiał. Lecz kiedy czas uspokoił, nie żał, ale pierwsze wstrząśnienie, po paru latach wszedł do Sejmu.

Przynosił on do tego zawodu przymioty i warunki bardzo szczęśliwe: głowę jasną i trzeźwą, wiele spokoju i zimnej krwi, pomimo wielkiej żywości, nawet drażliwości, uczucia; wielką stałość w zdaniu, a wyrozumiałość na zdanie drugich i zdolność porozumiewania się z drugimi; wreszcie umiejętność postępowania z ludźmi i baczność troskliwą, żeby ich niczem nie razić, lub nie gniewać. Przymioty te były zapewne wrodzone, ale z wyjątkiem tego jednego, że był ludziom miły, były, sądzymy, więcej wyrobione, zdobyte wolą i panowaniem nad sobą. Z charakteru dość absolutny, a z temperamentu nerwowy, nie mógł on mieć tej zimnej krwi, spokojności i cierpliwości, bez wielkiej nad sobą pracy. Ale był jednym z tych, co z doświadczeń dawniejszych umieją wyciągać naukę, a bardzo być może, że pamiętał i niejedną z doświadczenia przez ojca mu daną; miał prócz tego doskonałego doradcę w stryju, niepospolitym znawcy spraw politycznych i naszego społeczeństwa, a sam przez się

rozumny i rozważny, wstępował w życie publiczne dobrze przygotowany. Wiedział, że trzeba umieć panować nad sobą; wiedział, że nie trzeba wyrywać się ze swoją myślą, czy dążeniem: że zwłaszcza w jego stanowisku, konieczna jest wielka uwaga i miara. Rzecz to dziwna i trudna do pogodzenia, ale niemniej rzeczywista i rzecz można tradycyjna, że człowiek, jak on bogaty i świetnego nazwiska, ma u nas prawie zawsze bardzo łatwy wstęp i początek zawodu, otacza go życzliwość, przyjaźń ludzka, czasem wyrozumiałość i pobłażliwość aż zbyt duża. Ale kiedy już żyć i działać zaczął, kiedy sobie sam jakieś stanowisko zrobił, wtedy budzi się nasz wrodzony zmysł egalitarny, i jak żeby w obawie, by ten człowiek nie wyrósł za wysoko, nie stał się zbyt silnym, dana mu zrazu *à conto* życzliwość, zamienia się w jakąś nieufność i podejrzliwość. Za dawnej Rzeczypospolitej posądzaliśmy królów, że chcą *absolutum dominium*, obywatele, że chcą zostać królami; dziś o koronę nikt się nie stara, ale dziecinnie usposobienie w nas zostało, i obawia się, że ten lub ów „czegoś chce,“ gdzieś nas chce prowadzić“. Artur Potocki z głęboką znajomością położenia, z delikatnym taktem, nałożył sobie to prawo i tę regułę, żeby czynnym będąc zawsze i gorliwie, nigdy nie występować bez koniecznej potrzeby; żeby mówić tylko, kiedy istotnie nie mógł nie mówić, żeby mówiąc, nigdy nie szukać efektu, nie zwracać uwagi na swoją wymowę, czy osobę. Tą szlachetną uwagą i miarą, tą wstrzeźliwością słowa, odznaczył się zaraz w pierwszej sesji sejmowej, do której należał; był posłem prawie do zbytku skromnym i trzymającym się w dalszych rzędach. W komisjach zato, pracował pilnie a przemawiał chętnie, bo tam o rzecz samą chodzi, tam pole najsposobniejsze i do obrony swojej zasady i do pokazania swojej znajomości rzeczy. Kto wie, czy takim postępowaniem nie rozbroił wielu

uprzedzeń, nie pozyskał wiele ufności i sympatyi. Jedną ufność w każdym razie zdobył, cenną i chlubną, a do zdobycia niełatwą. Grocholski tak do zbytku ostrożny, czasem aż podejrzliwy, względem Artura i sam otwarty był zupełnie i w jego szczerść zupełnie wierzył. Piękny był i rękujący dobre nadzieje dla naszych parlamentarnych stosunków, ten związek zaufania między starym przewodnikiem, schodzącym z pola, a młodym posłem, który zdawał się przeznaczonym na jednego z przewodników kraju w przyszłości.

Jako człowiek polityczny, Artur miał przymioty wielkie: zdawało się, że trzeba tylko zbiegu szczęśliwych okoliczności, na to, by one rozwinęły się zupełnie i zajaśniały wielkimi oddaniami usługami. Te okoliczności nie przysły, zamiast nich przyszła śmierć; ale niemniej rzeczywisty i piękny był w nim zasób politycznych zdolności. Żeby zacząć od tego, co najmniej ważne, mówił bardzo dobrze; bez popędu i świetności ojca, nie taki orator, w dyskusji i argumentacji nie był od niego słabszy, a był do niego podobny, nawet tem, że czasem aż do zbytku dosadny i gruntowny w swoim wykładzie. Nie unosił się nigdy, bo nie chciał, bo sobie raz na zawsze założył wędzidło; ale miał życie w słowie, a jego spokój podszyty był zawsze uczuciem i przekonaniem, gorącą chęcią przekonania drugich; czczym nie był nigdy w swoich przemówieniach, ani oklepanym, ani mówiącym dlatego tylko żeby mówić, żeby jakaś sprawa, broń Boże, bez jego głosu się nie obeszła.

Uważano zwykle, że był szczególnie usposobiony do spraw finansowych i ekonomicznych, że rozpoznał się w nich zawsze bardzo łatwo i bystro, umiał upatrzeć i wskazać środki jakie były do użycia, by dojść do pewnego celu, czy oszczędności, czy możności wydatkowania. Był też stałym, koniecznym członkiem sejmowej

komisyi budżetowej, a w końcu jej przewodniczącym. Istotnie, cechą jego umysłu, była logiczność ścisła, prawie matematyczna; ale była w nim i szerokość pojęcia, która ze ścisłością nie zawsze chodzi w parze. A jeżeli znał i rozumiał dobrze ekonomiczne położenie kraju, to niemniej bystro ogarniał wzrokiem jego ogólne położenie polityczne; przenikliwie a trzeźwo widział naprzód skutki, jakie z pewnych przyczyn (uczynków czy zaniedbań) wyniknąć mogły; zmysł polskiego interesu miał bardzo czuły i wyrobiony, a znał ten interes pod wszystkimi jego warunkami, we wszystkich, nietylko galicyjskich stosunkach. Są usługi przez niego właśnie na takim szerszem polu oddane, o których z wielu względów dziś mówić nie można, a których pamięć z czasem może zupełnie zagaść, jak znikną świadkowie jego czynności. Jednak choć w opowiadania wdawać się nie można, to godzi się przypomnieć ogólnie, że miał przymiot jeden, między nami rzadki: zdolność i umiejętność wykonania tego, co było uznanem za dobre i potrzebne. W tem wykonywaniu był śmiały i stanowczy, nie wahał się iść na przebój, kiedy mu stawiano przeszkody, i umiał sobie dać radę, tak, że nieraz udało mu się to, co się bardzo trudnem i wątpliwem wydawało. W tej jego śmiałości było naturalnie zaufanie do siebie samego, było to uczucie, że wola prawdziwa i stanowcza może przecie czasem przeszkody złamać i na swoim postawić; ale była i ostrożność, rozwaga, obrotność. Była umiejętność milczenia, i zręczność wcale przebiegła w odkryciu tej słabej strony, za którą można przeciwnika uchwycić, albo z niej przeciw niemu skorzystać. Ambicyi miał dużo i nie krył się wcale ze swoim pociągiem do spraw publicznych, z zamiarem, żeby do nich czynnie, i jeżeli się da, przeważnie należeć. Kiedy ochłonął z pierwszego wrażenia po swoim nieszczęściu, ten zawód, ta nadzieja, były

może jedyną rzeczą, które go nęciły. Ale ambicya to była dobrego i szlachetnego człowieka, z sercem prostem i chrześcijańskim sumieniem. On sam nie był nigdy jej celem. Pragnął działać, znaczyć, pragnął *módcz*: ale w tem pragnieniu, siebie miał zawsze za środek tylko i narzędzie, a celem było to dobre, ten pożytek, to podniesienie kraju i sprawy, które z jego działania mogło wyniknąć. Nigdy też nie było w nim niechęci do jakiejś sprawy, dlatego, że mogła być niechęć lub nieufność do ludzi, którzy jej dali początek. Zachwiać coś i podkopać w opinii ludzkiej, skrzywić, nie dopuścić, dlatego, że myśl nie od niego wyszła: tego nie było nigdy na chwilę w jego duszy, ani w jego działaniu. Wady mógł mieć: — jedną z głównych była pewna nierówność w czynności, którą lubił prowadzić z nateżeniem i wysileniem zbytceznem, po którym wyczerpany, musiał ustać i sfolgować, licząc na siebie, że po koniecznym wypoczynku odbije czas stracony i nie zostanie w tyle za sprawą, która go zajmowała. I istotnie tak bywało; jednak to prawda, że jego energia była wielka, ale nie była równa, miała puls czasem zbyt przyspieszony, a czasem znowu (na krótko) zbyt wolny, co wszakże nie wykluczało wcale wytrwałości; owszem, była ona, i wielka, zacięta nawet; tempo zwalniał czasem, ale sprawy podjętej nie porzucał i nie odstępował nigdy. Jeżeli zaś jako człowiek, wady mieć musiał, to małości nie miał żadnej. Pobudka niska, lub złośliwa, przyjemność w dokuczeniu, pamięć doznanej urazy, cóż dopiero zazdrość, to wszystko były rzeczy nie istniejące, które nigdy nawet jako przemijające pokusy nie powstały w jego duszy; były z góry i raz na zawsze zwyciężone wrodzoną szlachetnością. Jeden przyjaciel znacznie od niego starszy, Niemiec, który go cenił bardzo wysoko, wyraził się raz trafnie, mówiąc o jego przewidywanej śmierci, że nie łatwo i nie prędko znaj-

dziemy drugiego, któryby był równie *hochherzig*. Wysokie, wspaniałe prawdziwie serce we wszystkim, w najdrobniejszych codziennych prywatnych jak w publicznych sprawach, to było główne piękne znamię jego duszy, po którym zawsze można go było odrazu i zdaleka poznać między ludźmi, bo mało ich było jemu pod tym względem równych.

Miał on wyraźne cechy — ale dobre — tego pokolenia, które zaczynało myśleć i rozwijać się już po roku 1863, a ci podobno więcej od starszych mają zasługi (bo więcej trudności) kiedy są dobrzy i wierni. My rośliśmy — pomimo wszystkich zdarzeń smutnych — w atmosferze nadziei, w wierze, że świat okropny jest tylko dziś, ale zmieni się na lepsze z pewnością i niedługo. Ta nadzieja i wiara zawiodła później, ale tak nam przeszła w krew za młodu, tak nam osiadła i ustaliła się w duszy, jako warstwa podstawna wszystkich pojęć i dążeń, że choć przyszły zawody a panowanie złego wzmogło się i rozszerzyło w naszych oczach, ona przecie została na dnie, jako fundament żywotów. Ci młodzi, którzy byli dziećmi, kiedy sprawa polska zapadła się w przepaść, a byli młodzieńcami, kiedy zawałiła się w roku 1871 Europa i tylko Prusy z Rosją zostały jako arbitry jej losów, ci żeby wierzyć w dobre i dobremu służyć, nie mieli żadnej z zewnątrz podpory ani otuchy, mieli tylko tę, jaką we własnej duszy znaleźć mogli z łaski Boga, z wpływu rodziców, i z własnej wreszcie zasługi. Oni potrzebowali więcej niż my hartu i cnoty, żeby walczyć, bo od dzieciństwa nie przypuszczali nigdy rychłego zwycięstwa, i w chłopięcych jeszcze latach musieli sobie powiedzieć, że cokolwiek zrobią, to skutek ich trudów i poświęceń będzie w najlepszym razie częściowy, nieznaczący, mały. W tym ślubie poświęcenia żywota na służbę Ojczyzny, jaki każdy młody Polak

składa w swoim sercu, kiedy do lat młodzięcych przychodzi, dla nas tkwiły nadzieje szczęścia i tryumfu, dla nich był gorzki pierwiastek wyrzeczenia się jednego i drugiego, była świadomość, że złe jest mocne, a oni słabi, i że czekać trzeba będzie długo, dłużej, niż ich życie, dłużej może niż pokolenia całe, żeby złe przetrzymać i doczekać się tej chwili, w której ono „rozpocznie samobójstwo swoje.“ Oni potrzebowali więcej odwagi i więcej ofiary niż my, żeby ten ślub wykonać i żeby go dotrzymać. Ale mieli też — ci z nich, którzy dobrymi i wiernymi byli i zostali — przymioty zastosowane do czasu i położenia, jak żeby natura polska była się w tych zmienionych warunkach sama zmieniała, podobnie jak zmienia się budowa zwierząt podług warunków i potrzeb w jakich żyją. Oni byli mniej lotni od nas, mieli mniej fantazyi i poezyi, może w uczuciu mniej tej zapalnej i namiętnej siły, która do nas dostała się od bezpośrednich poprzedników, a może właśnie od tej wiary w świat i ludzi, w którejśmy rośli. Ale ich głowy chłodniejsze, były od naszych trzeźwiejsze; ich charaktery od młodości do wyrzeczenia się zmuszone i włożone, były i giętsze i zarazem hartowniejsze; oni nauczeni patrzeć na świat bez złudzeń, mieli łatwiejszą i jaśniejszą niż my świadomość rzeczywistości, a ich uczucie nie tak zapewne burzliwe i głośnie, nie było ani mniej wytrzymałem, ani mniej silnem jak nasze. Oni niemniej dobrze wiedzieli co być powinno, ale prędzej i bystrzej od nas przywykli dostrzegać to co jest, rozumieć to, zdawać sobie sprawę z przesmyków, któremi można wymijać złe jakie jest, żeby się gdzie o skałę nie rozbić, lub na mieliznie nie osiąść. Do praktycznego życia byli usposobieni lepiej, polityczny zmysł mieli wcześniej obudzony i bardziej rozwinięty, aniżeli ich poprzednicy w podobnym stopniu rozumu i zdolności. Artur był w swoim

pokoleniu jednym z najlepszych: ale był jego wyobraźcą wiernym i dobrym, miał ten rodzaj umysłu, charakteru i publicznego ducha. Przez to zaś, że miał to usposobienie tak potrzebne i pożądane, a w mierze tak wysokiej jak rzadko który z jego rówieśników, przez to, że łączył je z wyjątkową istotnie siłą szlachetnych popędów, przez to wiązało się tyle do jego życia nadziei i ufności, przez to już dziś, w miesiąc ledwo po jego śmierci, tak się w każdej czynności czy trudności czuje, że go niema.

Nie możemy tu opowiadać jego zachowania się we wszystkich szczegółowych sprawach sejmowych: ogółem tylko przypomnieć mamy obowiązek, że nie było sprawy ważniejszej, któraby się bez jego udziału i wpływu obeszła, zwłaszcza, jeżeli była drażliwą, jeżeli przez obrót nieszczęśliwy, lub źle powziętą uchwałę, mogła sprowadzić zawikłania, bądźto wewnętrzne, bądź w Wiedniu. Stanowczość Artura Potockiego, a zarazem wyrozumiałość i spokój z jakim przyjmował zdanie przeciwne, sprawiały, że rola pośrednika i negocyatora między powaźnionymi stronami przypadła mu często, a przez to nierównie on więcej w Sejmie znaczył i działał, niż na jego posiedzeniach występował. Posiadający wielkie zaufanie Grocholskiego, wywierający tyle wpływu na swego stryja, ile mu sam ulegał, w porozumieniu ścisłym i szczerem z tymi, których nazywano posłami krakowskimi, bardzo dobrze widziany przez posłów sanockich, miał przez to wszystko szeroką podstawę do działania w Sejmie. A kto w ostatniej kadencji zasiadał, ten pamięta, jak gorliwym i jak nieraz skutecznym było jego działanie, jak było rozumnym i dobrem, nawet kiedy nie odnosiło skutku. Przypominamy tu z roku 1884 wniosek p. Hutsnera w sprawie statutu organizacyjnego kolei Państwa, z tegosamego roku sprawę ratunku po klęsce powodzi

(podczas klęski samej był Artur niezmordowany w czynności, a niewyczerpany w hojności) i sprawę zabezpieczenia kraju od powodzi przez regulację rzek; potem ustawa o rybołóstwie i szereg projektów, wniosków, rozpraw, dążących do wynalezienia sposobu, jak wystarczyć koniecznym wydatkom, a w budżecie zaprowadzić równowagę; przez cały ciąg kadencji, obrady Koła posłów włościańskich i ich praktyczne skutki; usilne (choć bezskuteczne) starania, by ustawie drogowej dać obrót szczęśliwy z zasadą słuszną i praktyczną — i tak dalej do końca, aż do ostatniej uchwały, którą Sejm w jego obecności powziął, do tej ustawy o zniesieniu propinacyi, którą już niegdyś jego ojciec wskazywał jako konieczną i pilną, którą on tak brał do serca, że już chory nie chciał się leczyć, dopóki nie doszła szczęśliwie do końca.

Pominać musimy jego przewodnictwo w Radzie powiatowej chrzanowskiej i w Towarzystwie Rolniczem krakowskiem, i w Radzie nadzorczej Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń (gdzie szczególną podobno odznaczał się znajomością rzeczy i zręcznością). Jedno wszakże wspomnieć musimy: Nie miał w Sejmie pola — dzięki Bogu — do występowania w obronie wiary i Kościoła, ale przekonanie miał pod tym względem wyrobione i zahartowane. Nigdy, nawet w latach niedojrzałej młodości, nie dał sobie zachwiać ani odebrać wiary: miał ją żywą, czynną, i wypełniał zawsze wszystkie praktyki, do których wiara obowiązuje człowieka, u którego jest szczerą. Rzecz to w naszym wieku u ludzi młodych rzadka, zwłaszcza może rzadka u takich, którym łatwość życia i dostatek przymnaża pokus, a samą pychę głaszcze i rozwija.

Umysł obejmował i pojmował bystro całość spraw, serce rwało się do każdej, która była potrzebna i dobra. Z tem usposobieniem i przygotowaniem, z tem znacze-

niem jakie sobie wyrobił, ze związkami przyjaźni osobistej i politycznej, jakie miał z znaczącymi w kraju i państwie ludźmi, budził to zaufanie niezachwiane, że jakiegokolwiek byłoby jego stanowisko urzędowe, zawsze on wiele zrobić zdoła, a co robi, to w dobrym duchu i kierunku. To też kiedy się myślało o naszych sprawach w najbliższej przyszłości, miało się to uspokojenie, że głowa i serce tego człowieka będą na jakie lat dwadzieścia lub trzydzieści jednym z niezawodnych a dobrych warunków tej przyszłości. Ten rodzaj zażyłości, jaki się wyrobił między nim a Arcyksięciem Rudolfem, mógł zapewne z czasem okazać się bardzo pożytecznym, jak mógł się też i zmienić; ale te związki i wpływy, jakie miał w kraju, zmienić się nie mogły, a rokowały przez grono dzielnych i rozumnych ludzi, mądre działanie w polityce, w szczęśliwym razie może silny środek ciężkości, przyciągający i ustalający lotne i płynne pierwiastki, zdolny z czasem wytworzyć i przywrócić równowagę organizmowi, który dotąd nie dość czuje jej potrzebę, a bez niej (jak wszelki inny) ani silnie się ruszać, ani prawdziwie i długo żyć nie może. Okoliczności zdawały się po temu składać i do tego zmierzać, kiedy przyszła śmierć: i z tych dobrych warunków naszego przyszłego działania i powodzenia przemazała jeden, ale jeden z najlepszych.

Czy to ofiara pokutna za nasze dawne grzechy, czy może kara za to, że mając często wielu dobrych, nie chcieliśmy z nich korzystać? Oby to pierwsze, a nie drugie. Ale jakkolwiek jest, to patrząc na to życie krótkie, smutne a bogate w zasługi, dochodzi się do przekonania, że w narodach szczęśliwszych niełatwo może byłoby znaleźć człowieka w podobnych warunkach, a żyjącego tak mało dla siebie, tak zupełnie poświęconego celom ogólnym i wyższym. Jest w tem przecie pociecha, i pokrze-

pienie na duchu. Mówi się tak wiele o winach i błędach polskiej arystokracji, nikt nie widzi ich lepiej, nie sądzi surowiej od nas. Ale patrząc wstecz na skończony prawie wiek XIX, widzi się w jego ciągu ogromną tam sumę patryotyzmu, poświęcenia i cnoty. Potockim w szczególności wypomina się dotąd grzech Szczęsnego, a w naszym wieku było między nimi kilku, których mogliśmy byli nie mieć bez wielkiej dla siebie szkody. Ale spróbujmy policzyć, ile mieli od stu lat wartości i zasługi: Ignacy, Stanisław, Włodzimierz, Alfred i Artur za Napoleona; później Aleksander, Tomasz, Henryk, Adam i Alfred wreszcie, — patrzaliśmy na nich, i nie trzeba przypominać, ileśmy w nich mieli, i ileśmy w nich stracili. Czy to znak, że idziemy w górę, czy tylko piękny koniec, nie wiemy, ale sądzimy, że gdyby w jakiegokolwiek jednej rodzinie podobnego znaczenia, francuskiej, angielskiej czy włoskiej poszukać, to może nie znalazłoby się tam tylu ludzi z poświęceniem, a tylu z niepospolitą zdolnością? Ten najmłodszy z nich, Artur, ze swoim wielkim sercem? i ze swoją dobrocią mięką i czułą, z odwagą i inicjatywą w charakterze, z rozumem niezwykłym, z ręką zawsze otwartą i hojną, z budującą wiernością swoim zasadom, a niemniej budującą karnością w postępowaniu, z bogacił niemało skarbiec tych zasług i ofiar: a choć krwi nie przelewał i z mienia nie był wyzuty, poświęceń i wyrzeczeń się walk, z sobą samym miał nie mniej niż tamci, choć żył krócej od nich. Kiedy był młodym chłopcem, z wielkim zapałem czytywał *Fausta*, powtarzał często jego gorzkie słowa *Entsagen muszt du, muszt entsagen*, i mówił, że to abecadło w nauce życia. Mówił to, jak żeby w przeczuciu. Musiał sam wyrzec się szczęścia; a potem w tej ostatniej chorobie, czego on nie złożył w ofierze, z czem się nie ugiął i nie upokorzył! Ofiara z własnego życia, młodego jeszcze, ze

wszystkich zamiarów jakie mieć, ze wszystkich pożytków jakie przynieść, ze wszystkich zasług jakie położyć mógł: ofiara z własnych pociech i ze szczęścia swoich, matki żadną obcą myślą nieogarnione boleści, dzieci sieroctwo, wszystko to musiał mężnie woli Bożej poświęcić i polecić. A wszystkie męczarnie tej strasznej choroby długiej, całorocznej, wytrzymać! a ta trudność w mówieniu, niezdolność przykrość w każdej chwili, a bolesne kalectwo w dalszem życiu (o ile o niem myślał) i konieczność wyrzeczenia się tego wszystkiego, co człowiek mową sprawić może... wszystko, aż do rzeczy najmniejszych, aż do miłości własnej było umęczone, upokorzone. On taki rad ze swojej siły i wytrzymałości, taki ufny w swoje zdrowie, on musiał się wyrzec tego co ma ostatni zebrać: swobodnego, łatwego ruchu i wyrażenia swojej myśli jak chce. Ile potrzebował cierpliwości, odwagi, pokory, zwycięstw nad sobą samym? a ile musiał z sobą samym walczyć, żeby się poddać, zgodzić, pod ręką Boską ugiąć pokornie?... Ten koniec budujący wielkością odwagi a prostotą uległości, to zasługa, która, nie wiemy na karb czego, ale z pewnością policzona będzie, bo to największa w jego życiu cnota. Nieszczęśliwy był w tym strasznym ostatnim roku swego życia tak, że stosują się do niego, jak żeby dla niego były pisane te skargi Joba, które Kościół modli się za zmarłych: „Duch mój umniejsz się, dni moje się skrócą, „a tylko mi grób zostaje. Dni moje przeminęły, myśli „moje rozerwane są, trapiąc serce moje. Gdzież tedy „jest oczekiwanie moje, a cierpliwość moją kto oba- „czywa.“ „Zmiłujcie się nademną, zmiłujcie się nade- „mną przyjaciele moi, bo mnie ręka Pańska dotknęła. „Popsował mnie zewsząd i ginę, a jako wyrwanemu „drzewu „odjął nadzieję moją.“ „Puść mnie tedy, że

„trochę opłacę boleść moją pierwej, niż pójdę i nie „wrócę się.“

Było dosłownie tak, i on musiał prawie dosłownie tak siebie samego żałować. Ale z tych głębokości nie-szczęścia i smutku, jak zwycięzko, jak chwalebnie i tryumfalnie wzbija się w górę pewność odzycia i wiekuistej światłości:

„Wiem, iż Odkupiciel mój żyje, a w dzień osta-
„teczny powstanę z ziemi. I zaś obleczon będę w skórę
„moją, i w ciele mojem oglądam Boga mego, którego
„ujrzeć mam ja isty, a nie inny. Schowana jest ta na-
„dzieja w zanadrzu mojem.“

Ta to myśl dała mu stałość, i męstwo, i pogodę w śmierci; ona na rysach zmarłego już zostawiła taki wyraz spokoju, jak żeby wszystkie cierpienia ciała i duszy zwiane były i zmasane anielskim skrzydłem pociechy i nadziei. Z tą myślą niezawodnie zażył on ostatniej na tym świecie pociechy, może przyjemności. Matejko był mu darował swój obraz *Zmartwychwstania* na pamiątkę wspólnej jazdy do Rzymu i oddawania Papieżowi *Sobieskiego pod Wiedniem*. W płomienistej jasności wzbil się Zbawiciel z grobu, z rękami rozpiętymi, z nogami złożonemi tak, jak wisiał na krzyżu. Obraz ten był zawsze w pokoju Artura, przy jego łóżku. W wilię śmierci kazał go sobie przysunąć tuż do krzesła, w którym konał, i wpatrywał się weń ciągle przez cały wieczór, przez całą noc, przez cały następny, ostatni, ranek swego życia. Wpatrywał się, bo obraz odpowiadał jego myśli, potwierdzał tę pewność: „wiem, że mój Odku-
„piciele żyje, a w dzień ostateczny powstanę z ziemi, ja
„isty a nie inny.“

W chwili śmierci myśli się tylko o Bogu i o sobie, o swoim zbawieniu. Ale wiara jest jedna i niepodzielna, a człowiek, który umiera, z pewnością że sam nie ginie, lecz wstanie zmartwych, musi swoją wiarą obejmować więcej, i odchodzi ze świata z przekonaniem, że taksamo nie zginie, ale odżyje wszystko, co na świecie dobre, co sam za takie uznał, kochał i czemu służył.



Przedruk z „Przeglądu Polskiego“ z miesiąca Maja 1890 r.



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

. 180192

Biblioteka WSP Kielce



0115768